



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jadwiga Katarzyna Wróblewska z d. Wagner

Moja pierwsza szkoła

Tamta wiosna była dla mnie wyjątkowa – byłam podekscytowana, bo wiedziałam, że na jesieni pójde do szkoły. W szafie wisiała już przygotowana dla mnie spodniczka i biała bluzka, brakowało tylko ładnych sandałów. Cieszyłam się, że nie będę już musiała siedzieć w domu z babcią i cerować skarpet. Babcia kazała mi tylko robić, ale o jedzenie dla mnie nie dbała. Mówiła, że trzeba robić zapasy suchego chleba – „na wypadek wojny, żeby nie zabrakło”. Mama, pracująca jako gospodyni u państwa Arctów, wieczorem przynosiła od nich trochę zapasów dla nas. Tato w tym czasie pracował w wytwórni czekolady u Wedla. Jako że mieszkaliśmy na Tamce i do Wedla było niedaleko, chodziłam pod wywietrznik okienny w fabryce i wdychając wydobywający się zapach marzyłam, że jem czekoladę kawałek po kawałku. Jeszcze dzisiaj czuję ten smak i tą słodycz.

W sierpniu zaczęłam już coś pojmować, że Hitler, że może a nawet na pewno wojna. A ja tak chciałam do szkoły! Urodziłam się w marcu 1931 roku, więc nie byłam już taka mała i pewne rzeczy rozumiałam. Wiele spraw tłumaczył mi mój brat Jurek – harcerz.

Ostatni dzień przed planowanym pójściem do szkoły – 31 sierpnia 1939 roku – był dla mnie jakiś niespokojny. W nocy obudził nas huk i odgłosy wybuchających bomb. Tato i mama byli przy mnie, ale brata gdzieś pognano. Babcia za ścianą modliła się głośno.

Po wybuchu wojny mama nadal chodziła do pracy do Arctów, aż do dnia śmierci pana Arcta – właściciela księgarni i wydawnictwa kartograficznego „Bracia Arct”. Zginął u nas w bramie od przypadkowego niemieckiego pocisku. Głowa w kapeluszu leżała w jednym miejscu, a reszta ciała osobno. Przez dwa dni nie wolno było go sprzątnąć i pochować. Skończyła się praca mamy, skończyło się jedzenie. Tato znalazł zatrudnienie w elektrowni koło Syrenki, niedaleko naszego domu i jako tramwajarz warszawski.

Któregoś dnia zobaczyłam jak tata z bratem wynoszą z domu cęgi, młotki, kable. Po cichu z ciekawości poszłam za nimi i obserwowałam zza przymkniętych drzwi co chłopcy w wieku mego brata, brat, tato i sąsiedzi z podwórka robią. Coś majstrowali przy kablach, były gąsienice czołgowe, jakieś działka czy coś w tym rodzaju. Słyszałam tylko powtarzane słowo „Kubuś”. „Kubuś” to, „Kubuś” tamto. Słowo to było odmieniane przez wszystkie przypadki. W całej okazałości zobaczyłam Kubusia po wybuchu Powstania Warszawskiego. Okazało się, że jest to działko samobieżne (że tak się nazywa, dowiedziałam się po wojnie) zasilane poprzez podłączony z tyłu kabel. W czasie walk powstańczych wyjechał ten „Kubuś” z ukrycia i zaczął walić w Niemców. Wprawdzie tylko parę razy, ale zawsze coś.

Jakiś czas po śmierci pana Arcta mama podjęła pracę w szpitalu na Czerniakowie. Chodziłam do niej często i przynosiłam stamtąd do domu w puszcze po marmoladzie jakieś resztki zupy, mleka,

kartofli i co tylko było do jedzenia. Któregoś dnia, kiedy tak szłam z jedzeniem, trafiłam na uliczną łapankę. Niemcy zaczęli strzelać i tuż koło mnie rozerwał się granat. Skutek był fatalny – okropny ból, utrata błony bębenkowej, a w konsekwencji uszkodzony błędnik. Ale najważniejsze, że udało mi się uciec i przeżyłam.

W czasie okupacji hitlerowskiej do szkoły nie chodziłam. Byłam za mała na tajne komplety, więc mama sama opowiadała mi o geografii, historii. Tato w wolnych chwilach, których dużo nie było, uczył mnie pisać i czytać. Nie wolno mi było wychodzić na podwórko pobawić się z koleżankami czy kolegami. Po pierwsze – bombardowania, strzelanina, łapanki, a po drugie – babcia kazała mi cerować całe worki skarpet, „bo to później może mi się przydać”. Dzieci oglądałam tylko przez okno.

Sytuacja zmieniła się po wybuchu Powstania Warszawskiego. Brat Jurek jako harcerz znalazł się gdzieś na Woli – nosił pocztę powstańczą. Mama, pracująca wówczas w Szpitalu Czerniakowskim, z chwilą rozpoczęcia walk zabrała mnie do siebie, bo tata był gdzieś przy „PAŚCIE”. Dopiero w szpitalu zobaczyłam ogrom cierpienia: ludzie starzy, młodzi, na łózkach, na podłodze, w pokojach, salach, na korytarzach. Bez rąk, nóg, strasznie okaleczeni, bez szans na szybką operację czy jakiś zabieg, bo w operacyjnej jednego pacjenta zdejmowano ze stołu i już kładziono następnego. Po jakimś czasie budynek został zbombardowany przez Niemców, mimo że na dachu rozłożona była biała płachta z czerwonym krzyżem.

Po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy pogonili nas na Pruszków. W drodze odnalazł nas tata i został z nami. Potem spotkaliśmy Jurka, a także brata taty z jego rodziną. Od tego momentu trzymaliśmy się razem. W nocy dotarliśmy do Pruszkowa, gdzie na stacji rozdzielczej podzielono nas na grupy. Kobiety i dzieci na jedną stronę, mężczyźni i młodzież męska na drugą. Bez jedzenia i picia czekaliśmy dwa dni na przyjazd pociągu bydłowego. Odchodzić do ubikacji nie było wolno – groziła za to kulka. Potrzeby fizjologiczne musieliśmy załatwiać w kąciku na miejscu. Kiedy wreszcie pociąg wtoczył się na dworzec Niemcy już nie patrzyli gdzie kto wsiada, byle był w wagonie i byle weszło do niego jak najwięcej ludzi. Przez okienko pod dachem wagonu wrzucili parę bochenków gliniasto-trocimowego chleba i ruszyliśmy.

Na szczęście cała nasza rodzina znalazła się w jednym wagonie. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy, wiem tylko, że bardzo chciało nam się pić a wody nie było. W czasie postojów gdzieś na bocznicach kolejowych przechodzili do nas ukradkiem jacyś ludzie i wlewali wodę do wagonów jak tylko się dało – na przykład przez okienko z butelki, z czajnika. Pamiętam też, że wlewali między deski, polewali wagony. Jeśli Niemcy zauważyli, to od razu strzelali. I tak potem jechaliśmy żywi ze zmarłymi, mając w kącie wagonu jeszcze górę tego, co wycisnął z nas niemiecki chleb i zimna, surowa woda. Ciało martwych ludzi nie można usunąć, bo nie otwierano wagonów.

Do Neuseddinlagerbahnhof dotarliśmy 25 października 1944 roku Ze stacji pogonili nas w las. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, bo przecież nie wieźli by nas taki kawał drogi tylko po to, żeby tam rozstrzelać. Po niedługim czasie zobaczyłam w lesie domy z desek. Okazało się, że tu będziemy mieszkać. Zarządzono apel, sprawdzano, spisywano, ustawiano, goniono, bito i rozdzielano prace – kto, gdzie i przy czym. Ja, jako że mała, dostałam przydział do parowozowni. Stojąc w głębokim kanale czyściłam parowozy od dołu, a potem koła. Jeśli nie było co robić to udawałam, że coś robię w kanale i spałam. Mama pracowała chyba na nastawni, czyściła wagony, a jak było potrzeba to ze strażniczką obozową jeździła pociągiem do Poczdamu po jakieś zaopatrzenie dla Niemców. Ojciec z bratem jeździli parowozami w DEPO.

Pierwszego dnia wskazano nam miejsca do spania – salę, łóżko (górne lub dolne). Dostaliśmy byle jakie miski, wiadra, brudne koce, a jako poduszka pod głowę służył własny kułak. Jedną miskę mama przeznaczyła na garnek. Kiedy wracaliśmy z pracy, wygrzebywaliśmy ze śniegu zmarznięte grzyby. W baraku mama gotowała z nich w tej misce sos grzybowy, aby było coś gorącego w żołądku. Do tego wykupiony na kartki chleb. Niemcy nie dawali nam jeść, a za pracę płacili pieniędzmi, za które można było kupić tylko w kantynie obozowej jedzenie w cenie jaką oni wystawili.

Pamiętam – było to już zimą – zawołał mnie i jeszcze kilka młodych dziewczyn jakiś starszy Niemiec. Żadna z nas nie chciała podejść, ale on zaczął krzyżeć i musiałyśmy iść razem z nim. Zaprowadził nas na bocznice, kazał być cicho i sam otworzył drzwi od wagonu. My gotowe do ucieczki, on gotowy do strzelania. A z wagonu zaczęły sypać się jabłka. Prędko ładowałam w nogawki od szerokich spodni roboczych, w rękawy kurtki i w co się dało. Dziewczyny to samo. W DEPO w łazienkowej przegrodzie zrobiliśmy zapas witamin aż pod sufit. Szkorbut nam nie groził. I wśród Niemców i wśród Polaków byli ludzie dobrzy, ale byli też gwałciciele i mordercy. Takich my – młode dziewczynki – musiałyśmy się wystrzeżać.

W lutym – marcu 1945 roku, kiedy spodziewano się nadejścia wojsk radzieckich, Niemcy zaplanowali zagazowanie ludzi z obozu. Którejś nocy przyszedł do baraku jakiś Niemiec i po cichu w ciemnym kącie powiedział jednemu z dorosłych, żebyśmy w ciągu dnia nie dali się zagonić do bramy przejściowej, bo z jednej i z drugiej strony zostały zainstalowane szczelne drzwi i chcą tam puścić gaz.

W efekcie zaplanowana przez hitlerowców akcja nie powiodła się, bo z jednej strony bramy podeszli już Rosjanie, a my nie daliśmy się wpędzić do przygotowanego dla nas miejsca zagłady.

Po oswobodzeniu obozu w kwietniu 1945 roku poszliśmy całą rodziną do Poczdamu. Miasto było strasznie zbombardowane, a z dworca kolejowego niewiele pozostało. Tu po długim czasie oczekiwania dostaliśmy się na pociąg w kierunku Warszawy. Pamiętam, że tata miał rower, nie wiem skąd, ale jechały na nim torby i plecaki. W drodze powrotnej pojawił się nowy wróg – ruscy. Chodzili po wagonach we dwóch, trzech i zabierali co im wpadło w ręce. Tacie odebrali rower mówiąc, że później mu oddadzą. Kiedy zaczął protestować, jeden z nich wyciągnął z kieszeni pistolet. Tato machnął więc ręką i poszedł w drugi koniec wagonu. Ruscy stali jeszcze przez chwilę i spoglądali na mnie, a w końcu poszli. Mama mi mówiła, że wybierają sobie młode dziewczyny, biorą do swojego wagonu, gwałcą, a potem kulka w łeb i wyrzucają trupa z pociągu.

Każdej następnej nocy spałam między rodzicami, ukryta pod kocami. Tak udało się nam dojechać do samej Warszawy. Och, Boże! To nie była Warszawa tylko morze ruin! I ludzie jak samotne wyspy na tym morzu. Moje miasto, moja Warszawa...